

Wojciech Gołabowski

Czas pomagania światu

Czasami się budził. Rozglądał się wtedy dokoła, jakby chciał zapamiętać cały świat dzięki temu jednemu spojrzeniu. Potem robił zdziwioną minę, że świat ciągle jeszcze istnieje. A później zamykał oczy i spał dalej. Tak trwał nieprzerwanie od miesiąca - w szpitalu, podłączony do kroplówki. Wszelkie próby nawiązania kontaktu - czy to podczas przebudzeń, czy też usiłowań obudzenia go - spełzły na niczym. Nie wiadomo było jak się nazywa, gdzie mieszka, pracuje. Gdy go przywieziono - znalezionego przy śmietniku - nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Spośród szarego tłumu włóczęgów odróżniała go jedna rzecz. Jak stwierdził chirurg, jego nogi zostały amputowane w sposób fachowy, ale nie w szpitalu. Najwyraźniej - stwierdził - wynajął jakiegoś byłego specjalistę, bądź emerytowanego, bądź pozbawionego koncesji. W każdym razie było to dawno temu. Co najmniej pięć lat. Na podstawie tej wypowiedzi uruchomiono odpowiednie policyjne bazy danych, poszukując odpowiadającego opisowi chirurga. Nie znaleziono takiego w promieniu stu kilometrów. Szersze przeszukiwanie nie miało sensu. Pacjenta przywieziono rankiem 11 kwietnia, więc przydano mu imię jednego z patronów tego dnia - Filipa. I tak już zostało.

Lekarz westchnął cicho i wstał z krzesła, stojącego nieopodal łóżka Filipa. Tej nocy także nic ciekawego pewnie się nie zdarzy. "Kiedyś w końcu musi się obudzić!", pomyślał, czując napływ irytacji. "Jak długo można trwać w takiej

śpiączce? Tydzień, miesiąc, kwartał? Nabawi się zapalenia płuc i odejdzie w swym śnie. I nigdy nie dowiemy się, kim był." Wyszedł z oszklonego pokoiku i ruszył do dyżurki. Dwudziestoparoletnia siostra Joasia jak zwykle ni to siedziała, ni to leżała w fotelu, czytając horror.

Stopy wyciągnęła na taborecie, pomocnym przy sięganiu na wyższe półki szafek medycznych. Była zwrócona do niego przodem, ale nie widziała go, zatopiona bez reszty w treści książki. Stał więc tak i spoglądał na nią. Brązowe, proste, długie włosy spływały jej na ramiona, na śnieżnobiały fartuch pielęgniarski. Zza okładki widać jeszcze było ciemne oczy, lekko rozszerzone z napięcia. Pamiętał, że reszta twarzy jest równie piękna. Spod końcówek kitla wyłaniały się zgrabne nogi w beżowych rajstopach. Do tego wszystkiego siostra Joasia była, jak to określał, porządną dziewczyną. Ach, gdyby był te paręnaście lat młodszy... Westchnął na duszy i spojrzał na okładkę książki. Z krwistoczerwonego chaosu wyłaniało się oko i kilka ostrych zębów w paszczy. Nazwisko autora nic mu nie mówiło. "Mój Boże", pomyślał, "żadnego poszanowania dla normalnej literatury." Chrząknął. Pielęgniarka poderwała się przerażona, widząc jednak znajomą twarz, nieco się uspokoiła.

- Co nowego u Śpiącego? - spytała, jak zwykle zadowolona z rozpowszechnionego już na oddziale rymu jej autorstwa.

- Chciałbym wiedzieć - mruknął doktor. - Zrób mi, proszę, herbaty. Mocnej.

Siostra Joasia odłożyła starannie książkę i podeszła do kuchenki. Doktor podniósł ją - książkę, nie Joasię - i zaczął przeglądać. Najpierw próbował znaleźć stronę, na której nie byłoby słowa "krew". Po chwili skapitulował. Otworzył więc na przedostatniej stronie i zerknął na listę wydanych pozycji.

Mimo znacznej obszerności spisu, zauważył zaledwie kilku autorów. Większość tytułów różniła się tylko kolejnym numerem. Na dole strony widniał stempel biblioteki Klubu Miłośników Horroru. Nigdy nie mógł zrozumieć, jak siostra Joasia może to czytać. Nie tylko ze względu na treść (czy jej brak), ale głównie biorąc pod uwagę miejsce i charakter pracy - nocne, samotne dyżury nie należały na oddziale do rzadkości... No, cóż. Odłożył zde gustowany książkę.

- Lubi pan horrory, doktorze ? - padło znad podawanej, pachnącej herbaty.

- Czytałem kiedyś Kinga - odparł. - Wydaje mi się jednak, że różnica między nim a tym - wskazał na stolik - jest zasadnicza.

- Być może - zgodziła się. - Nie znam.

"Nic dziwnego", pomyślał, zerkając ostatni raz na krwawą okładkę. Wyciągnął z nesesera świeżą gazetę i rozsiadł się w sąsiednim fotelu. Zatopił się we własnej lekturze.

- ... w sny?

- Słucham? - poderwał głowę znad artykułu.

- Pytałam, czy wierzy pan w sny.

- Jak to, czy wierzę? W co?

- No, w to, że sny się spełniają. Że są zapowiedzią przyszłości.

- Nie... raczej nie - pokręcił głową. - A dlaczego pytasz?

- A, śniło mi się coś takiego... Jakby coś spadało na mnie z nieba... W nocy...

- Cegła?

- Nie, coś żywego... Jakiś ptak... Miało ostre szpony...
Nieważne.

- Niezbyt miły sen - zmarszczył brwi.

- Nienajlepszy.

- Może to z powodu tych książek? Wiesz - ożywił się - nie
rozumiem, jak można...

- Niektórzy ludzie lubią się bać - ucięła, nawykła do takich
pytań.

- Tak, słyszałem tę teorię - mruknął, wracając do gazety.

Siostra nie zauważyła irytacji doktora. Odsuwając
delikatnie niesforny kosmyk włosów za ucho, podeszła do
szyby stanowiącej ściankę dyżurki. Spojrzała łagodnym
wzrokiem na śpiącego Filipa.

- Ciekawi mnie tylko, o czym on śni.

Leciał. Kochał to uczucie wolności ptaka na niebie. Ale on
ptakiem nie był. Nie czuł się jednak człowiekiem. Jak gdyby
opadły z niego krępujące ludzi więzy. Spoglądał na oszklony
budynek, na młodą dziewczynę i mężczyznę w średnim wieku
zgrupowanych w jednym z niewielu oświetlonych pokojów.
Dziewczyna miała piękne, długie włosy, mężczyzna siwą
bródkę i także wąsy. Nie czuł żadnej więzi z nimi. Nie był
jednym z nich. Leciał bezszelestnie po nocnym niebie.
Przelatywał nad dachami, zręcznie omijając anteny
telewizyjne, dzięki którym widzowie siedząc bezpiecznie w
domowym zaciszu mogli spokojnie napawać się
wiadomościami o kolejnych morderstwach, bestialstwach i

zbrodniach. Bo ludzie lubią o tym słuchać. Nie lubią tylko, gdy ich to spotyka. Jak gdyby samo słuchanie i oglądanie Śmierci na wszechobecnych ekranach stanowiło haracz jej składany. Jakby mogło odwlec w nieskończoność nieuniknione. Jak... Ciszę nocną rozerwał skowyt psa. Przerwał rozmyślania i skierował się w stronę, z której dobiegał ów jęk i prośba zarazem. Poczł mocniej swe skrzydła utkane z nocy na kształt nietoperza. Poczł rosnące szybko w środku każdego ramienia szpony. Wiedział, że nietoperze zawisają na nich, on jednak nie potrzebował tego. Jego szpony były ostre jak brzytwa. Były przeznaczone do czego innego. Nadleciał nad źródło dźwięku i spojrzł na jego przyczynę. Coś w skórzanej kurtce nabijanej ćwiekami na przemian kopało i biło plastikową rurką kulącego się wśród sterty śmieci psa. Lubił psy. Tylko one go widziały na mrocznym nieboskłonie. Gdy istota przypominająca człowieka jeszcze raz kopnęła ofiarę, dobył z gardła wrzaskliwy pisk i runął w dół. Na prześladowcę. Szpony złowrogo zaśniły w świetle księżyca. Znalazły cel.

- Dobry wieczór, panie doktorze - tym razem przez biały fartuch pielęgniarzki wyraźnie przebijał czerwony materiał eleganckiego zakietu. "W takim stroju do pracy...?", pomyślał zdumiony.

- Dobry wieczór, Joasiu. Co słychać?

- Dziękuję, wszystko w porządku. Poczęstuje się pan ciastem?

- O, a jakaż to okazja?

- A - siostra uśmiechnęła się szeroko. - Miałam urodziny i trochę zostało po imprezie.

- Trochę? - doktor zerknął na ciasto. Wyglądało na świeżo wyjęte z foremki, jeszcze nie skalane nożem. - Ach, więc proszę przyjąć najlepsze życzenia. Niech jakiś przystojny chłopak wybije ci z głowy te horrory, dziewczyno.

- Dziękuję - oblicze pielęgniarki rozpromieniło się jeszcze bardziej. Policzki nabrały koloru ubrania. Doktor pomyślał przelotnie, kiedy to ostatnio widział rumieniącą się młodą kobietę. Nie pamiętał. "Ale znak jest dobry: świat powoli wraca do normalności. Trzeba mu tylko trochę pomóc".

- Tyle że - siostra Joasia zatroskała się - chyba nie wzięłam noża, by to pokroić, a tu jakoś też żadnego nie widzę...

Doktor pomyślał o swoim płaszczu. Tam, w zaciszu kieszeni krył się wspaniały nóż myśliwski. Kupił go dawno temu, ale nosił od kilku miesięcy. Zawsze przy sobie. Nieduży, doskonale leżał w dłoni. Jego ostrze przecięłoby każde ciasto, choćby stare i na śmierć zasuszone. Ale było przeznaczone do czego innego. Nigdy się nim nie chwalił. Przyzwoitą siostrę Joasię mógłby przerazić. Lepiej niech sobie myśli, że on jest zwyczajnym lekarzem, który zawsze chroni życie. Normalnym, bezbronnym przechodniem.

- Jakoś sobie poradzimy bez noża - wskazał pielęgniarce fotel, samemu zanosząc wiktuały. - Przecież mamy ręce, a i nikt obcy na nas nie patrzy.

- Wszyscy śpią - Joasia zerknęła przez szybę i zachichotała.
- A zwłaszcza Filip.

Leciał. Ale tym razem poczucie wolności było tłumione przez niewytłumaczalne pragnienia. Jedne z nich ciągnęły go do budynku szpitala, tam, gdzie leżało jego ciało, pogrążone w głębokim śnie. Wiedział, że śni, ale w swoim sennym,

skrzydlatym ciele czuł się lepiej. W niej chciał pozostać. Powracał więc czasem do ciała człowieka, ale nie chcąc go, szybko ulatywał z powrotem. Wracił do przestrzeni. Do wolności. I coraz częściej do niszczącej dzielnicy jakiegoś pobliskiego miasta. Nie wiedział, dlaczego. Nie znał tego miejsca. Krążył jednak nad jakimś budynkiem i nad całą okolicą. Czuł się dziwnie związany z nią. Czuł się jej strażnikiem. I dlatego, gdy posłyszał chrobot wytrycha, nie zawahał się. Złodziej był cichy dla uszu ludzkich, lecz nie dość cichy dla nocnego drapieżnika. Po ultradźwiękowym wrzasku, od którego parę psów zawyło tu i ówdzie, włamywacz rozejrzył się, jakby przeczuwając coś niedobrego. Ale dla niego było już za późno.

- Czytał pan już gazetę? - siostra Joasia widząc zmoczonego deszczem doktora od razu wzięła się za robienie gorącej herbaty.

- Nie, a co piszą? - doktor zdjął mokry kapelusz i płaszcz. Na szczęście popielaty swetr pod płaszczem był już suchy. Pasował, jak oceniła Joasia, do siwego zarostu doktora.

- Znaleziono kolejną ofiarę z poderżniętym gardłem. To już chyba ósma.

- A co na to policja? - w jego głosie można było wyczuć lekkie zdenerwowanie.

- Nic - dziewczyna wzruszyła ramionami i załała woreczek wrzątkiem. - Albo coś wiedzą i trzymają to w tajemnicy. Dobro śledztwa i takie tam... Proszę.

- Dziękuję - przystawił zmarznięte dłonie do szklanki. Ta majowa noc wcale nie była tak ciepła, jak być powinna. A

może to jemu było zimno? Do tego ten deszcz... Krew spływająca chodnikiem...

- Ach, jeszcze jedno - pielęgniarka chwyciła gazetę i podała mężczyźnie. - Piszą, że z oględzin ofiar wynika, że morderca zna się na rzeczy.

- Zna się...?

- To znaczy od strony medycznej. No, wie pan. Wie, co przeciąć i jak.

- Ach, tak - mruknął lekarz i zaczął czytać artykuł. Twarz zasłonił gazetą. Siostra podeszła do szyby i spojrzała na oddział. W nocy panował tu taki spokój, że... było to aż nienaturalne. Zbyt spokojnie. Krople deszczu dzwoniły lekko o szkło okien. Usypiały. Ale nie wszystkich...

- Doktorze! Filip się poruszył! Chyba się budzi! - zawołała z przejęciem.

Lekarz zerwał się z fotela, odrzucając na bok lekturę. Wybiegł z dyżurki i pobiegł do pokoiku pacjenta. Joasia tuż za nim. Wpadli jak wichur do pomieszczenia i pochylili się nad łóżkiem. Rzeczywiście, człowiek zwany Filipem budził się. Patrzył wokoło niewidzącym wzrokiem, aż spojrzenie skupiło się na pielęgniarce.

- Kim jesteś - doktor spytał spokojnie, choć trochę ostro. Pacjent nie zareagował, nadal spoglądając na dziewczynę.

- Kim jesteś, Filipie? - łagodniej spytała Joasia. Ale jej rozmówca już zamykał oczy.

- Nie zasypiaj! - rzucił lekarz, chwytając rękę leżącego. - Obudź się. No, dalej! Słyszysz? Obudź się! A, do diabła z

tobą! - gwałtownie obrócił się i wyszedł z gniewną miną. Siostra stała dalej, zaszokowana jego zachowaniem. Zawsze taki kulturalny, spokojny, a tu... Czyżby ten artykuł? Poprawiła ułożenie śpiącego i wyszła, cicho zamykając drzwi.

Leciał, ale myśli nie dawały mu spokoju. "Kim jesteś?" Nie wiedział, kim jest. Nie wiedział, czym jest. "Kim jesteś, Filipe?" Nie miał nigdy na imię Filip. Ale jak? Nie pamiętał. "Nie zasypiaj!" Przecież w tym śnie żyje naprawdę, życiem, o którym im się nie śni. "Kim jesteś, Filipie?" Ta dziewczyna. Ta twarz. Jakże podobna... do kogo? I dlaczego tak uparcie powraca do tej dzielnicy, coraz bardziej zaniedbanej? Czyżby to stąd pochodził? Czyżby tu narodziło się to ciało, przykute do szpitalnego łóżka? A ta twarz... Byłaby to twarz matki? Nie, przecież matka... Przypomniawszy sobie. Matka zmarła na raka skóry. W tym domu. A w kilka dni później znienawidzony ojczym pobił go i wyrzucił na śmietnik, aby zajął się nim ktoś inny. Albo żeby zdechł. Dość wspomnień! Wrzasnął. Rozszczękały się wszystkie psy w okolicy. Wrzasnął jeszcze raz, mocniej. Psy zawyły boleśnie. A zwłaszcza jeden, ulubiony matki, obecnie trzymany na dworze, w obskórnej budzie. Nie chciał ich bólu, ale miał zadanie do wykonania. Wrzasnął po raz trzeci. Tu i ówdzie zapaliły się światła w oknach, jakieś głosy usiłowały uspokoić rozszalałe psy. Otworzyły się drzwi domu. Potężna sylwetka ojczyma ubranego tylko w slipy i spocony podkoszulek pojawiła się w nich, po czym wyszła na deszcz. Z domu dobiegł głos jakiejś młodej kobiety. Postać ojczyma zaczęła krzyczeć na psa. Chwyciła za oparty od dom kij od miotły i podeszła bliżej budy. Pies powoli wycofywał się, lecz nadal wył. Człowiek zamachnął się. Spoglądał na tę scenę z góry, zataczając niewielkie koła. Jego szpony były już na swoim miejscu. Nadal nie wiedział, czym jest, ale wiedział, po co tu

jest. Wydał jeszcze jeden okrzyk i spikował na ofiarę.

Joasia od razu poznała, że doktor jest w złym humorze. Był to jednak wyjątkowo dzienny dyżur, nie pytała więc o szczegóły. Na dziennej zmianie nie miała nawet czasu na czytanie ulubionych horrorów. A lekarz rzeczywiście był zły. Głównie na policjantów, którzy dwie godziny wcześniej przesłuchiwali go w związku z ostatnimi morderstwami. Prowadzący śledztwo byli niemalże pewni, iż czyni to ktoś ze świata medycznego, więc z braku innych tropów sprawdzali pobliskich lekarzy. Było ich trochę, oj, było - szpital nie był jedynym ośrodkiem w okolicy - więc czemu przyczepili się akurat do niego? "Czyżbym komuś mówił, że potrzeba zmienić oblicze tego chorego świata? Nawet jeśli tak, to przecież wszyscy tak mówią. Może mówiłem, że trzeba światu aktywnie pomóc się leczyć?", zastanawiał się. "Bo mojego noża nikomu nie pokazywałem, to pewne. Kupiłem go daleko stąd, sprzedawca mnie nie zna. Dobrze przynajmniej, że mnie nie zrewidowali." Ale nie było czasu na rozmyślania. Roboty było dość. Na dodatek na poprzedniej zmianie obudził się Filip i, co najdziwniejsze, nie zasnął od razu. Nie powiedział jednak ani słowa.

- Panie doktorze, policjant do pana! - dobiegło od drzwi wejściowych na oddział.

- Nie teraz, jestem w pracy! - odkrzyknął.

- Mówi, że to pilne!

Zaklął pod nosem. Jego robota też była pilna. "Czy oni nie dadzą mi spokoju?", myślał zdenerwowany. "Przyszedł mnie aresztować? Jeśli teraz chce mnie przesłuchiwać, to go normalnie wyrzucę stąd. Cały oddział mnie poprze." Jednak

mundurowy nie był tym, który prowadził śledztwo. Był młodszy wiekiem i rangą.

- Słucham? - nadal był zaniepokojony, co można było łatwo wychwycić w jego głosie.

- Panie doktorze, szef stwierdził, że to dla pana ważne i kazał to dostarczyć - wyrzucił z siebie, podając zarazem dużą kopertę.

Lekarz rozerwał szary papier i wyjął kilka kartek. Na jednej z nich była odbitka kserograficzna zdjęcia. Znał twarz z tego zdjęcia.

- Siostró Joasiu! - zawołał za siebie.

- Tak, panie doktorze? - dobiegło z oddali.

- Mamy akta Filipa! - stwierdził z satysfakcją. - Jak żeście to znaleźli? - zwrócił się znów do policjanta.

- Oj, nie wiem, panie doktorze. Ja to tylko przyniosłem.

- Cóż, dziękuję - wręczył kartki nadbiegłej właśnie miedzianowłosej pielęgniarce. Ta gorączkowo zaczęła je przeglądać.

- Ach, jeszcze jedno - mundurowy najwyraźniej zapomniał, że rozmawia z lekarzem, bo spoglądał tylko na Joasię. Jak zaczarowany. - Szef kazał pana doktora przeprosić. Złapali tego mordercę, co pana przesłuchiwali w jego sprawie.

- Tak? - lekarz uśmiechnął się.

- Tak - młody policjant jakimś nadludzkim wysiłkiem oderwał wzrok od dziewczyny i spojrzał na rozmówcę. -

Podobno jakiś psychiczny, wylany z medyka. Może mu odbiło?

- Może - zgodził się doktor. - Dziękuję panu. Joasiu, odprowadź pana do wyjścia - rzucił, biorąc z powrotem akta Filipa z rąk zdziwionej pielęgniarki. Przeglądął je szybko. Było tam i imię, i nazwisko, i inne dane personalne, zdjęcie i co najważniejsze, numer konta bankowego. Odetchnął z ulgą, choć nie znał stanu tego konta. Sama jego obecność świadczyła na korzyść pacjenta. Poza tym będzie za co leczyć go dalej. Zamknął akta i zdecydowanym krokiem podszedł do dyżurki. Położył teczkę na stoliku i wrócił do pracy, rozmyślając nad słowami policjanta. "Złapali kogoś. Kogo? Pewnie błąkał się po okolicy. No, tak. Trzeba być ostrożnym, tylu różnych typów żyje ciągle na tym świecie... Za dużo. Ale powoli... Na wszystkich przyjdzie kolej..."

Tym razem leciał w dzień. Nie przeszkadzało mu to. Wiedział, że nikt go nie zobaczy. A on sam zmieniał się. Już nie był podobny do nietoperza. Jego skrzydła nabrały jakby dostojności, stały się skrzydłami ptasimi. Zanikły szpony u ramion, pojawiły się natomiast gdzie indziej - krótkie, w miarę chwytne. Niemniej radość latania była ta sama, zwłaszcza, iż dzień był piękny. Spoglądał na pięknie położony budynek Ośrodka, w którym go umieszczono po wypisaniu ze szpitala. Pieniądze z konta pokryły koszty leczenia szpitalnego, obecnie zaś poddawany był zabiegom rehabilitacyjnym. Leciał. Pod nim szumiała rzeka, nad brzegiem której położony był Ośrodek. Woda była czysta. Na lewo las. Na prawo łąka - zielony pas startowy. Za łąką pole, a na nim dojrzałe już do zżęcia zboże mieni się złotymi kolorami. Coś jednak kłóci ten obraz - tu i ówdzie między kłosami czerwieni się mak. Zwolnił lotu i z pewnym trudem zerwał jeden kwiat. Jego

krwista czerwień falowała na wietrze, jak gdyby chciała coś powiedzieć, przypomnieć coś ważnego, coś...

- Panie Arturze, czas na ćwiczenia - dobiegł gdzieś z tyłu głos pielęgniarki.

- Zaraz przyjadę - wycharczał, z trudem wymawiając słowa. Siostra wyszła z pokoju. Westchnął. Siedział w fotelu inwalidzkim, odwrócony tyłem do drzwi. Przed nim, za otwartym oknem rozpościerała się panorama okolicy. Spojrzał na swe ręce. W zaciśniętej pięści tkwił kwiat maku. Ciągłe pachniał zbożem. Wydało mu się, że część krwistoczerwonej barwy spływa na jego ręce. Jak znak. Wyrzucił z obrzydzeniem kwiat przez okno i wyjechał z pokoju.